



*Brzydki
człowiek
i inne
opowiadania*

Włodzimierz Kowalewski



***Brzydki
człowiek
i inne
opowiadania***

Włodzimierz Kowalewski

WYDAWNICTWO MARGINESY

Wieczór autorski



COPYRIGHT © BY WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI

COPYRIGHT © BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2016

Gruby chodnik na korytarzu i miękkie obicia pierwszej klasy tłumiły stukot kół. Do przedziału wpadało rozkołysane, pastelowe światło późnego popołudnia, pomarańczowe cętki skakały po oparciach pustych siedzeń naprzeciw, jak iskry migotały w lustrze umieszczonym pod siatką na bagaże, podpałały zdobiące wnętrza fotografie zakola Menu koło Kitzingen i śnieżnych czap masywu Zugspitze.

Przytulił policzek do podgłówek przesiąkniętego kolejowym śwędem. Za oknem w nerwowym, metalicznym rytmie umykały ścierniska ze słupami pyłu, gęste parawany świerków zmęczonych długim latem, czasem mniejsze lub większe tafle jezior o toni tak ciemnej, jakby odbijało się w nich to, co najczarniejsze w niebie. Było gorąco. Podmuchy powietrza uderzające w twarz niosły kwaśny posmak dymu z parowozu.

Niezbyt już świeżą chustką otarł pot z czoła i skroni, wyjął okulary, usiłował czytać. Oczy piekły jednak ze

zmęczenia, litery tańczyły. Znużonym ruchem odłożył więc kupione na monachijskim dworcu szeleszczące numery „Neue Rundschau” i „Literarische Welt”, które zdążył już dokładnie przestudiować w czasie wielu godzin podróży, okulary wsunął do etui z wężowej skórki i wyszedł na korytarz.

Wagon był pusty. Jeszcze do pierwszej i drugiej polskiej granicy słyszał szmery głosów dochodzących z dalszych przedziałów, potem został zupełnie sam w pędzącym pulmanie, pełnym pluszu i aksamitów, szlifowanego szkła i polerowanego mosiądzu, na swój sposób pięknym wyśmiewaną dziś elegancją ze starych, kajzerowskich czasów.

Dziwna wyprawa. Do prowincji leżącej za dwoma granicami obcego kraju, jakby w innym świecie. Przypomniał sobie nagle *Po tamtej stronie* Alfreda Kubina, dziwaczną, zlekceważoną powieść sprzed lat, o której milczy nawet dokładny jak aptekarz Klabund w swojej *Literaturgeschichte*. Jej bohaterowie podróżowali do Państwa Snu, rzuconej gdzieś na kresy cywilizacji upiornej enklawy – dzieła milionera szaleńca, rzeczywistości rządzącej się prawami sennego koszmaru. Porównywać Państwo Snu do Prus Wschodnich? Niedorzeczność. A jednak czuł się trochę tak, jakby godzinę temu naprawdę przekroczył ów budzący trwogę Kubinowski mur, wyrastający w środku nocy, i teraz właśnie zmierzał w głąb jakiejś tajemniczej „tamtej strony”. Szczególne uczucie – i prawdziwy dreszcz lęku na plecach,

pod chłodnym dotknięciem jedwabnej koszuli. Potem głos rozsądku – przecież nie jedzie tam pierwszy raz, nie dalej jak trzy tygodnie temu wrócili z Katią i dziećmi z Rauschen, po całym sierpniu spędzonym na bałtyckiej plaży. To było tylko trochę dalej na północ.

Otrząsnął się. Rozpędzony krajobraz za oknami wcale nie napawał grozą, ale jednak – był już tego całkowicie pewien – przykuwał uwagę czymś, co mógłby nazwać „nierzucającą się w oczy innością”.

Kontury sosen ostro rysowały się na tle nieba, w powietrzu wytrawnym i suchym, zapewniającym dosłowność widzenia. Żadnej tam *Stimmung*, malarskich fantasmagorii, żadnych mgieł, tęcz i barwnych oparów. Wszystko tu było zdecydowane, jednoznaczne, przejrzyste. Lasy rozstawione jak regimenty wojska na pagórkowatym terenie; szeregi, czworoboki jedne za drugimi, niżej, wyżej, ciemnozielone, potem przechodzące w daleki błękit. Łąki i pola rozległe, o wyrazistych kształtach, drogi proste albo skręcające regularnym łukiem gdzieś poza horyzont, z parą kolein odcisniętą w żółtym piasku. Czerwone dachy i czerwone ściany wiosek, skupione wokół wysokiego autorytetu kościelnych wież. Schludne, oplecione dzikim winem stacyjki, którymi gardzą ekspresy i pociągi pośpieszne; migające w pędzie postacie dyżurnych ruchu, zastygłe z chorągiewkami w ręku.

Z drugiego końca wagonu bezszelestnie zbliżył się młody konduktor o brzydkiej, szerokiej twarzy. Wyglą-

dał jak zjawa na tle rzędu zasłon powiewających równo niczym szale baletnic w powłóczystym tańcu.

– O której będziemy w Allenstein?

– Za niecałą godzinę. Akurat minęliśmy Eylau, jeszcze tylko jedna stacja, Osterode – objaśnił sucho i obrzucił go przy tym zdumionym spojrzeniem spod daszka kepi, jakby nieoczekiwanie rozpoznał kogoś, kogo niedawno widział gdzieś indziej. Czyżby konduktorzy kolejowi czytali magazyny literackie?

Zamarzył o łyku chłodnego wina i po chwili znalazł się w wagonie restauracyjnym. Siedziało tu kilka osób – oficer Reichsmarine kończący spóźniony obiad, dwoje kochanków w średnim wieku, na pewno kochanków, bo inaczej nie patrzyliby tak na siebie znad próżnych szklanek, gruby ojciec i dwaj tacy sami synowie bliźniacy, na dodatek piegowaci, ledwo poruszający ustami zaklejonymi ciastem, którego okruchy zdążyły już zapaskudzić pół podłogi.

Biały niersteiner, wyjęty z lodu, przyjemnie zaszczytał w język, rozchodząc się falami smaków; od prostej cierpkości poprzez delikatny aromat pomarańczowej skórki, ledwo wyczuwalny osad gałki muszkatołowej aż po surową świeżość wilgotnych, dopiero co zerwanych gronowych kiści.

Odruchowo podniósł kieliszek do światła, rozplywającego się w nim złociście jak w magicznej kuli. Tyle razy chciał napisać o winie jako żywej sublimacji słońca, czarownym napoju, w który materializują się blask i cie-

pło, zapachy lata, uśmiechy, muśnięcia wiatru z nadreńskich wzgórz. O winie – syntezie radości świata. Nie znalazł do tego okazji w *Buddenbrookach*, mimo soczystych scen mieszczańskich uczt, a przy mozolnym pisaniu *Czarodziejskiej góry* zwyczajnie zapomniał. Potem latami nie mógł się zdecydować, czy ma to być opowiadanie, rozdział nowej powieści czy też esej. Dziwne, że dotąd jeszcze nie zrobił tego nikt z wielkich współczesnych. Może obawiano się, że temat zbyt trywialny, że taki traktat mogą wypełnić wyłącznie banały i oczywistości? Ale przecież co tak naprawdę znaczy „być pisarzem”? To znaczy – szukać coraz to nowych określeń dla tego, co powszechnie znane.

Kiedyś dziennikarz pisma „Nord und Süd” zapytał go, czy lubi podróże. Odruchowo odpowiedział, że nie lubi. On, który ostatnie trzydzieści lat, więcej niż połowę swojego życia, dzielił między dom i nieustanną włóczęgę po Niemczech, bliższej i dalszej Europie, a nawet europejskich przyległościach! Zabrzmiało to jak dowcip. W rzeczywistości nie lubił czasu poprzedzającego podróż. Odczuwał wtedy wzmożoną niechęć do opuszczania gabinetu w przytulnej willi na Bogenhausen, przyływy miłości do Monachium, do znajomych perspektyw ulic i kształtów budowli, matowej wody Izary. Miewał też kłopoty ze snem, przewracał się z boku na bok i przy akompaniamencie spokojnego oddechu Katii wyobrażał sobie czekające go uciążliwości i trudy – mitręgę długich godzin w pociągach albo beznadziejną

nudę dusznych kajut, ból głowy, lepkość niedomytego ciała, pustkę hotelowych wnętrz. Z rozpaczą patrzył na zalegające biurko rękopisy. Zawsze właśnie przed podróżą pisało mu się najlepiej, a tu trzeba było wszystko zostawić, rozproszyć myśli, marnotrawić tygodnie albo całe miesiące. Najbardziej cierpiał w dniu wyjazdu. Wstawał rano rozdygotany z niewyspania. Czas biegł za szybko lub za wolno, zawsze nie tak, jakby chciał. Pogoda była również zawsze nie taka, sprawy pozostające jeszcze do załatwienia zdawały się przerastać siły i możliwości. Ostatnie najgorsze pół godziny spędzał ubrany do wyjścia, bezmyślnie siedząc w wielkim fotelu pod oknem albo krążąc po pokojach. Wreszcie zegar w stołowym wybijał swoim basem oznaczoną porę, dźwięcznie wtórował mu z gabinetu mały kominkowy kurant, prezent od nieszczęsnej Carli, potem już tylko rozlegał się ze schodów wrzaskliwy falset *Fräulein* Lenz, taki sam teraz, jak i przed wielką wojną: „*Herr* Mann, taksówka podjechała!”, albo dawniej: „*Herr* Mann, konie gotowe!”. Zbiegał wtedy na dół, zdawkowo i niecierpliwie żegnał się z domownikami, obrzucał dom tęsknym spojrzaniem i zdenerwowany, czując zbyt mocno bijące serce, szybko wsiadał do pojazdu. Niepokój mijał na dworcu, w chwili tego łagodnego, przynoszącego ulgę szarpnięcia, po którym budynki, ludzie, latarnie i drzewa zaczynają się coraz szybciej przesuwac do tyłu, a świat pulsuje już innym tętnem. Od tego momentu żył rzeczywistością podróży. Podróż wciągała, ustanawiała

swoje prawa i hierarchie, zawieszała i odsuwała w niebyt zwyczajne treści życia, z perspektywy pozerającego przestrzeń pociągu lub zagubionego na morzu parowca czyniła nierealnym to, co niedawno wydawało się aż do bólu oczywiste.

Uwielbiał zgiełk wielkich miast. Miał wrażenie, że roztapia się w nim, przybiera inną postać, choć z pewnością pozostawał sobą. Po oficjalnych rautach, przemówieniach, komplementach dystyngowanego towarzystwa znikał w bocznych ulicach. Zapominał o Wagnerze, filozofach, konstrukcjach fabuł i zawłościach dusz swoich bohaterów. Zanurzał się w rozjarzonych purpurowym światłem wnętrzach kabaretów, słuchał orgiastycznych dźwięków jazzu i tlenionych blondyn śpiewających męskimi głosami. Lubił popijać do rana gin z beczelnymi młokosami o polakierowanych paznokciach i jak najgorszej reputacji. Niedawno w Amsterdamie, nocą, w dzielnicy rozpusty, zaczepiła go... wróżka. Siedziała wzorem tamtejszych prostytutek przy otwartym oknie, pod jaskrawym szyldem. „Jesteś dyrygentem, poetą albo księdzem, w każdym razie władasz uczuciami!” – wykrzyknęła na jego widok. Po tych słowach bez namysłu wszedł do środka. Była mocno przywiędła, pewnie już nie mogła uprawiać tego zawodu co sąsiadki. Za kilka marek odczytała mu z wytłuszczonych kart przepowiednię: „Czeka cię wspaniała wiadomość i forsa, duża forsa. Potem wyjedziesz bardzo daleko i już nigdy nie wrócisz. Ale nie przejmuj się – będziesz żył długo, będziesz

szczęśliwy”. Nie mógł przejść do porządku nad tą głupią formułką, którą pewnie recytowała każdemu klientowi. Zastanawiał się i kalkulował. Dobra wiadomość, pieniądze... Pewnie Fischer, ślamazarny jak każdy wydawca, zdecyduje się wreszcie na wysokonakładowe *Utwory zebrane*. A może nareszcie ruszyła sprzedaż w Ameryce? Podróż... Pewnie ten wyjazd do Palestyny, planowany na przyszły rok, w związku z *Józefem i jego braćmi*. Czy tak pociągnie mnie Orient, że już nigdy nie wrócę myślą do Europy? Kto wie... Kto wie... No bo chyba nie chodziło o podróż do Allenstein?

Jechał do tego miasta za dwiema granicami nie tyle dla wschodniopruskiej egzotyki, ile z powodu swojej nieumiejętności odmawiania usilnym prośbom; wady charakteru, którą od dziesięcioleci usiłował bez skutku zwalczyć. Pochodzący gdzieś z okolicy minister von Kanitz tak naprzykrzał mu się telefonami i listami, że w końcu uległ.

– To są tereny całkowicie odcięte od głównego pnia niemieckiej kultury. Jeśli wielcy ludzie, jak pan, pański brat Heinrich albo Toller czy Bergengruen przynajmniej nie zmanifestują swojego nimi zainteresowania, to puste pole zagospodaruje dobrze pan wie kto. Jestem pełen troski. Sam pan widzi, co dzieje się w Republice! – chrypliwie perswadował głos ze słuchawki.

Zgodził się zatem powtórzyć w Allenstein odczyt *Nietzsche a muzyka. Miłość i nienawiść*, a potem pojechać jeszcze na kilka dni do Tungen, posiadłości von Kanitza

nieopodal Wormditt, aby jak wyraził się minister: „Nic nie robić, rozmyślać i co najwyżej rozmawiać”.

Pociąg zostawił za sobą lasy, rosnące po obu stronach torów tak gęsto, że w wagonie przez dłuższy czas panował zielony półmrok, wynurzył się na zalanych słońcem odkosach między dwoma jeziorami, minął podmiejski przystanek i zwolnił bieg dopiero na wysokich wiaduktach, z których widać było panoramę miasta. Zamek z brunatnej cegły, udający gotyk kościół o osobliwej wieży z dwoma ostrymi hełmami, spiętrzone dachy kamienic na wzgórzu, niżej ulice prawie niewidoczne pod koronami drzew – wszystko wolno przepłynęło przed oczami jak obrazki fotoplastikonu.

Na stacji to, czego się spodziewał. Przez uchylone drzwi wagonu zobaczył grupkę młodzieży gimnazjalnej, zasapanych oficjeli w wizytowych strojach, wbiegających w ostatniej chwili i ocierających pot, młodego człowieka z bukietem kwiatów, o gładko zaczesanych włosach, błyszczących od brylantyny.

Nie był fałszywie skromny, lubił takie gesty. Uważał, że w cywilizowanym świecie muszą istnieć formy okazywania szacunku wybitnym ludziom. Zapiął marynarkę i zstąpił na peron, prosto w obłok pary wydobywającej się spod lokomotywy. Rozpoznano go od razu.

Błysk monokla w oku, uścisk dłoni wytrenowanej do oficjalnych powitań.

– Szanowny pan pozwoli, jestem Zülh, burmistrz Allenstein. Pan nadburmistrz prosi o wybaczenie, że nie mógł przybyć osobiście. Będzie na odczycie. A to doktor Trotz, dyrektor naszego gimnazjum.

Woń naftaliny i łagodnego tytoniu, ukłon, zbyt unizowany, ale ściśnięcie dłoni zdecydowane, mocne.

– Witam pana serdecznie, *Herr Mann*. Czytałem wszystko, co pan napisał. Jestem zachwycony. A to profesor Kokoschka, bardzo chciał pana poznać osobiście.

No tak, tego i tutaj nie mogło zabraknąć. Mundur w kolorze kłoki, pas, koalicjka, buty do konnej jazdy jak lustro. Te okrągłe czapki zawsze przypominały mi kształtem spluwaczki, które w sanatorium w Davos posługacze wynosili rano na długich trzonkach z pokoiów prątkujących chorych. Zamiast uścisku dłoni – efektowny trzask obcasami o asfalt.

– Miło mi. Co pan wyklada?

– Języki klasyczne! – zagrzmiała gromka odpowiedź.

– Ach, tak...

Owacja gimnazjalistów, kwiaty od pobladłego młodzieńca, okazuje się, miejscowego poety lirycznego, egzemplarz *Czarodziejskiej góry*, nachalnie podsuwany do podpisu przez jakąś matkę z dwojgiem dzieci, co nauczyciel w uniformie uznał za nietakt i komentował cichymi przekleństwami. Uwagi o klimacie Prus Wschodnich, o pogodzie i podróży, wzywianie bagażowego.

– Szanowny pan pozwoli, auto już czeka.

– Jeśli można, wolałbym dorożką. Chciałbym zaczerpnąć...

W tym momencie przerwał.

Daleko, pod ścianą dworcowego budynku, coś raptownie przykuło jego uwagę. Czyjeś spojrzenie. Jak nagły, niespodziewany błysk, powodujący skurcz całego ciała i odruchowe wstrzymanie oddechu.

Pod szyldem restauracji, na tle napisów reklamujących miejscowy browar *Waldschlösschen* i *Stadt- und Kreissparkasse* stała wysoka kobieta w szarym kostiumie. Z runda kapelusza spływała woalka, ale zacieraając rysy twarzy, nie mogła zasłonić oczu. Były jak dwa ostre światła bijące przez mgłę. Przygważdżały do miejsca, obezwładniały, tworzyły najjaśniejszy punkt otoczenia.

– Czy coś się stało, *Herr Mann*? – zapytał ktoś z niepokojem.

– Nie... Chciałem powiedzieć: jedźmy dorożką, chętnie zaczerpnę świeżego powietrza.

Pojazd płynnie toczył się po granitowej kostce. Burmistrz usiadł obok i usiłował prowadzić rozmowę. Mówił o tym, że wizyta tak znakomitej osoby to wielki zaszczyt dla władz i mieszkańców, że w Allenstein nigdy nie mieszkał żaden znany pisarz, z wyjątkiem pana Funka, który spisuje dzieje miasta.

Nie słuchał, odpowiadał zdawkowo i bezmyślnie, na granicy nieuprzejmości.

Ona? Tutaj? Skąd, jakim sposobem? Dlaczego? Nie miał jednak żadnych wątpliwości, wierzył swojej pamięci wzrokowej, nie zawiodła go nigdy. W liczących tysiące stron rękopisach potrafił bezbłędnie znajdować bez czytania konkretne zdania czy fragmenty, kierując się wyglądem skreśleń, odcieniem atramentu. Zresztą – te oczy. Znak szczególny, nie do podważenia. Marny poeta napisałby: „oczy jak gwiazdy”. On – że raczej jak małe tafelki lodu tchnące chłodem i naturalną wyższością, analizujące, rozkładające na kawałki wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Kiedyś, kiedy patrzył w nie z bliska, widział błękitne lśnienie szronu. Tego nie można zapomnieć.

Jechali aleją zabudowaną niezbyt okazałymi kamienicami, które od trotuaru odgradzały kwiatowe ogródki i ostre żelazne parkany. Ruch o tej porze był niewielki, szyby od zachodu zaczynały się czerwienić. Zewsząd dochodziła woń wczesnych chryzantem i świeżo podlanej ziemi, także strzępy rozmów, urywki zdań i pojedynczych słów z obcym, miękkim i szeleszczącym nalołem. Burmistrz zaczął nawet opowiadać o skomplikowanych problemach narodowościowych. Zbył to jakimś gładkim stwierdzeniem.

Dlaczego ludzie nie mogą osiągnąć jedności w pięknie, w zacisznosci życia? Co w nich jest takiego, jaki podszept szatański albo jaki boski błąd, że aż do bólu, do tragedii, do rozlewu krwi utwierdzają się w różnicach, zamiast szukać podobieństw? – przemknęło mu przez myśl.

Najlepszy hotel nazwano oczywiście Deutsches Haus, jak w co drugim mieście tego kraju. Znajdował się przy głównej ulicy, tuż obok ratusza.

Zanim wszedł przez oszklone drzwi, zauważył na słupie afisz: „Wielkiej sławy pisarz niemiecki Thomas Mann wygłosi odczyt...”.

Właściciel występujący na tle wyprężonego szeregu hotelowych chłopców w liberiach jak dowódca kompanii honorowej przywitał go z profesjonalną usłużnością. Sędziwy recepcjonista, co rusz zerkający badawczo zza grubych okularów, uroczyście podał klucz opatrzony złotą rzymską cyfrą I.

Hotele są wszędzie takie same. Podobnie cuchną, choćby należały do najwykwintniejszych, sprzedają na porcje złudzenie spokoju i wygody, choć trudno naprawdę w nich wypocząć, wypaść się do syta, osiągnąć stan równowagi niezbędny do poczucia szczęścia.

Apartament był obszerny, podobno pięć lat temu nocował tu sam Hindenburg. Przeładowany meblami salon o trzech wielkich oknach, w którym można by urządzić kongres jakiejś mniejszej partii politycznej. Dalej ładny gabinet, gdzie na mahoniowym biurku ustawiono nowiutką maszynę do pisania i pudełko ołówków firmy Moser. Leżały też miejscowe gazety, „Allensteiner Volksblatt”, „Allensteiner Zeitung” – tłustą czcionką informujące na pierwszych stronach o jego przyjeździe. Obok gabinetu sypialnia i królujące na środku małżeńskie łóżko, dalej jeszcze dwie garderoby, łazienka z głęboką

miedzianą wanną oraz całym systemem natrysków, również błyszczących miedzią.

Właśnie tam skierował pierwsze kroki. Otworzył walizkę, wyjął szlafrok, gruby ręcznik pachnący domem i angielskie mydło w wytartej, pociemniałej kasetce z cedrowego drewna, pamiątce czasu młodości, prezencie od Sebastiana, przywiezionym kiedyś, po skwarnym lecie, z Palestriny. Nigdy nie używał hotelowych przyborów.

Nawet gorąca, zaprawiona szczyptą morskiej soli kąpiel nie mogła uśmierzyć niepokoju. Leżąc w wannie, ciągle czuł na sobie siłę tego spojrzenia sprzed dworca, jego dosłowność i twardość zmuszające do jakiejś formy posłuszeństwa. Myślał o Wenecji. I o tym – sprzed dziesięciu lat.

Wenecja była magią, tajemnicą, prawdziwą ojczyzną, a wszystko, co o niej napisał – było kłamstwem, oprócz namiętności von Aschenbacha. Udawał, że przyłącza się do głosu snobów z całej Europy spacerujących z natchnionymi minami po placu Świętego Marka, zachwyconych urządzanym tylko dla nich karnawałem i żałośnie wsłuchanych w tandetne barkarole gondolierów. Naprawdę uważał to miasto za jedyne miejsce na ziemi, do którego przywiązał go Bóg. Czasem odczuwał je poza zmysłami, jak olbrzymią żywą istotę, znał grymasy i lęki, jego olśniewające piękno i koszmarną ohydę. Tęsknił do Wenecji i odwiedzał ją nieoczekiwanie, zwykle w sekrecie przed bliskimi; nigdzie ani nikomu nie wspominał o tych wizytach. Często też uciekał stamtąd pełen prze-

rażenia, obiecując sobie, że więcej nie wróci. Wracał. Razem z Mariem, właścicielem łodzi, a potem z jego kędzierzawym synem, również o imieniu Mario, wędrował po najskrytszych zakamarkach miasta. Za kościołem Madonna dell'Orto miały przesmyki między domami, gdzie słyszy się gdakanie kur i płynąc, zaczepia głową o rozwieszoną bieliznę, zawijał do ślepych kanałów ze stojącą, spleśniałą wodą i smrodem ekskrementów zakisłym w dusznym powietrzu. Godzinami kontemlował liszaje i odpadające tynki, ślepe okna, bramy na głucho zamknięte od niepamiętnych czasów. Niekiedy była też dla niego Wenecja najdoskonalszą syntezą dobra i zła, złączonych w jedno mocą przeciwieństw. Wydawało mu się, że jej wille i pałace, wieże i ozdobne fasady na przekór naturze, wbrew wszelkim prawom organicznym trwają, opierając się wodzie i słońcu, ponieważ zostały wzniesione z kamienia filozoficznego.

Wtedy, dziesięć lat temu, ukradkiem wyjechał ze zrewoltowanego Monachium. Świat przeżywał jeszcze amok radości po wielkiej wojnie, a na Lido słyszało się wyłącznie języki zwycięskich mocarstw. Był przekonany, że jest jedynym Niemcem w tym podekscytowanym tłumie, jedynym człowiekiem niepoddającym się prostackiej energii półnagich ciał i pragnieniu zabawy.

Któregoś popołudnia szedł przed siebie plażą, dziwnie zażenowany, skrępowany, z narastającym poczuciem

obcości. Zerwał się wiatr, podniósł tuman piachu, załopotwały parasole i pasiaste parawany. Jeden z nich wzdął się najpierw jak żagiel, potem złożył na pół w powietrznym wirze i przewrócił, rozbijając drewnianą ramę stolik z zastawą do herbaty, przygniatając fotele i leżaki.

– No i co pan tak stoi, mój panie?! Proszę się ruszyć i pomóc! – gruchnęło znieścacka zdanie w ostrej, północnej niemczyźnie.

Młoda kobieta usiłowała łapać unoszone podmuchami w kierunku morza części ubrania, a drugą ręką przytrzymać na głowie odlatującą słomkową panamę.

Wtedy po raz pierwszy dotknęło go to spojrzenie.

– Thomas Mann – przedstawił się potem, nieporadnie zbierając skorupy filiżanek i otrzepując spodnie.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Miała na imię Virna, nazwiska nie dosłyszała, a samo imię zabrzmiało w jej ustach tak, jakby je na poczekaniu wymyśliła. Virna. Młoda żona fabrykanta zapalek z pomorskiego miasta Stolp. W Wenecji, jak mówiła – z nudów, „dla oderwania od domowego kopciu”, z towarzystwem ze szkoły sztuk pięknych.

Byli sobie pisani na ten krótki czas. Bez zbędnych słów, wieloznacznych uśmiechów, obmierzonego rytuału uwodzenia, który czyniłby śmiesznym ponadczterdziestoletniego mężczyznę. Tak jakby w owej pierwszej chwili jedno od razu powiedziało drugiemu: „To ja!”. Do tej pory nie wiedział, czym jest prawdziwe pożądanie, wykraczające poza prostą fizjologię. Nocami, w hotelu

Excelsior, pochłaniali się wzajemnie. Jej ciało stawało się tym, czym chciał: mięszmem południowych owoców, wyuzdanym marzeniem, gładkością ptasich piór, chłodem marmuru, roztopionym żelazem. I nie było w tym żadnej uległości, było zrozumienie, jakie przynosi wielki ogień. Patrzył na nią z podziwem, kiedy naga stawała przy oknie wychodzącym na połyskującą w ciemnościach zatokę. Udając, że śpi, obserwował spod rzęs jej spokojny profil, zwrócony ku sufitowi. Może myślała o mężu przekładającym rachunki w kantorze swojej fabryki? Może o niespodziankach, które jeszcze przyniesie jej długie życie? Czy miała otwarte i wyraźnie widział unoszącą się znad nich srebrną poświatę. Nie mówił do niej: „Jesteś piękna”, mówił: „Jesteś pięknem”.

Wenecja przestała dla nich istnieć. Całymi dniami spacerowali po mieście jakby z obowiązku, pośpiesznie, wyprzedzając jedno drugie, nie rozglądając się dookoła. Tylko raz, tknięty cklwym widokiem księżycy nad Ponte di Rialto opowiedział jej o Vivaldim, rudobrodym księdzu, i jego orkiestrze złożonej z młodych dziewcząt, zapomnianym skrzypku geniuszu sprzed wieków, którego partytury przepisywał sam Bach i który będzie jeszcze kiedyś jednym z najsławniejszych kompozytorów wszech czasów. Wieczorami pili wino i jedli croquette di pollo w restauracji obok pałacu Grimani. Rozmawiali na ogół mało, chaotycznie, o domach i o zakończonej wojnie, o rodzinach, zwykłych sprawach. Oczywiście znała jego nazwisko i jego książki. Chciała, żeby przemawiał

słowami swoich postaci, żeby spoglądał na nią i na świat oczami bohaterów stworzonych do układania pięknych zdań i błyskotliwych syntez świata. Nie mogła zaakceptować bluźnierczej myśli, że literatura w rzeczywistości nijak ma się do życia.

Później było pierwsze pożegnanie w Wenecji, drugie, oficjalne, na dworcu w Trieście. Odjechali pociągami idącymi na północ, ale w zupełnie innych kierunkach. Rozstali się bez łez i zakłęb, jak para znajomych po wspólnej podróży.

W zacisznym gabinecie na Bogenhausen, zamiast układać kolejne akapity powieści czy rozpraw, biedził się nad listami. On, wielki pisarz, nie umiał znaleźć słów. Kreślił rozbudowane, retoryczne akapity, odczytywał je i stwierdzał, że nic nie znaczą. Czyżby nie potrafił pisać prawdy o sobie? Cztery listy kolejno przez kilka dni czekały, schowane głęboko, na decyzję wysłania i lądowały w kominku. Dopiero piąty, napisany jak górnolotny artykuł o posłannictwie artysty, powędrował do adresatki. Otrzymał długą odpowiedź, której nie przeczytał.

Wiedział już, że musi wyzbyć się złudzeń. Dana mu była lekcja życiowego banału i niczego więcej w tym względzie nie potrzebował.

Odczyt miał odbyć się w Teatrze Miejskim. Nadburmistrz przysłał samochód, mimo że nowy, bezstyłowy i brzydki budynek teatru, *Treudank* niemieckiej ojczyzny

dla Allenstein za zwycięstwo w plebiscycie, znajdował się o kilka kroków od hotelu. Zajechali przed szerokie, strome schody, na których oczekiwało już kilkadziesiąt osób. Kiedy wysiadał, rozległy się oklaski.

Całe foyer wypełniał tłum kobiet w wieczorowych toaletach i nieco ponad miarę obwieszonych biżuterią oraz brzuchatych mężczyzn w porządnym garniturach, którzy rozmawiali półgłosem, palili cygara, dla dodania sobie powagi spoglądali co jakiś czas na grube pozłacane zegarki.

Szedł środkiem w towarzystwie nadburmistrza i dyrektora gimnazjum, odkłaniał się lekko. Z kilku aparatów fotograficznych chłodnym ogniem wystrzeliła magnezja. Wkrótce zabrzmiał gong, jak przed zwykłym spektaklem, wszyscy zaczęli się tłoczyć, sprawdzać numery na biletach, zajmować miejsca.

Posadzono go na środku sceny, przy stole nakrytym czerwonym aksamitem. Salę ogarnął półmrok, wygaszono reflektory, pozostawiając tylko małą lampkę oświetlającą stół i jego twarz.

Włożył okulary, przysunął bliżej szklankę z wodą, wyjął notes i otworzył przed sobą.

– Drodzy państwo – rozpoczął bez wstępów. – Zaproszono mnie tutaj, żebym odniósł się...

Mówiąc, oswajał się z atmosferą, nabierał pewności siebie. Wypowiadał świetnie zbudowane, coraz dłuż-

sze zdania, śmieiej podnosił wzrok na zebranych. Patos i oratorskie napięcie to szczególne okoliczności, w których jego mózg pracował najjaśniej, skojarzenia rodziły się same, znienacka przychodziły puenty ostre i dźwięczne jak stalowe klingi. Nieraz trudząc się w domowej ciszy nad fragmentem powieści czy opowiadania, wyobrażał sobie, że wygłasza go w podniosłym tonie przed olbrzymią widownią – usuwało to wszelkie wątpliwości, pomagało osiągnąć zwartość wizji, wzmocnić siłę przesłania.

Twarze przed nim demonstrowały skupienie i zasłuchanie. Rzędy zmarszczonych czoł, napiętych policzków, skroni podpartych dłonią. Wiedział, że większość przyszła tu nie dla Nietzschego, Wagnera i Bizeta, ani nawet dla prelegenta Thomasa Manna, ale po to, żeby uczestniczyć w wielkim wydarzeniu. Błądził spojrzeniem ponad głowami i nagle o mało nie urwał zdania w połowie wyrazu. Serce uderzyło gwałtownie.

Ona była na sali. Siedziała daleko od sceny, pod balkonem wypełnionym młodzieżą. Mdłe światelko znad wyjścia do szatni padało smugą na rondo kapelusza. Oczy kłuły doskonale znajomym mu srebrnym blaskiem. Nie można było ich nie zauważyć, nie można było przestać o nich myśleć.

Mówił dalej, z wysiłkiem powstrzymując drżenie głosu. Mówił o Nietzschem, jego przyjaźni i zarazem nienawiści do Wagnera – myślał o Virnie. Czy jest tu naprawdę, czy jest tylko duchem? Może tajemniczym

znakiem? A może po prostu bierze za nią kogoś innego? Czy to możliwe, czy to ma jakiś sens? Dlaczego właśnie jemu, Thomasowi Mannowi, musiała przydarzyć się historia niczym z kinematografu? Może czegoś zażąda, może śledzi go po to, żeby wywołać skandal? Zawstydził się jednak, że o to ją posądził jak najgorszy kołtun. Odwrócił twarz i nie patrzył więcej w tamtą stronę.

Udało mu się jakoś skończyć. Znacznie skrócił referat, ale nikt tego nie zauważył. Rozbłysły zyrandole, huknęły brawa, publiczność wstała z miejsc, on wstał również, skinieniem głowy dziękował za owacje. Wniesiono kosz kwiatów. Nie wszyscy wychodzili, część słuchaczy otoczyła go z książkami w rękach; odkręcił wieczne pióro, rozdawał dedykacje.

Kiedy wreszcie zszedł ze sceny, natychmiast wpadł w ręce cierpliwie czekającego nadburmistrza, który wlewnie zapraszał na bankiet w salach ratusza.

Dziękował, prosił o godzinę wytchnienia. Chciał choć przez chwilę być sam. Okazało się to jednak niemożliwe. Oświadczył, że wróci do hotelu piechotą, lecz nadburmistrz i tak towarzyszył mu aż do drzwi, gadając całą drogę o czymś, co zupełnie do niego nie docierało.

Dyskretnie rozglądał się dookoła i nie dostrzegł Virny wśród ludzi opuszczających teatr ani w gromadzie czekających na przystanku tramwajowym. Wstrząsnął nim nagły lęk i niepewność. Czy to może być prawda? Czy tylko chore wspomnienia i złudna nostalgia? Zapraagnął natychmiast stąd wyjechać, zamarzył o transeuro-

pejskim ekspresie pędzącym przez noc i o rozkosznym kołysaniu wagonu sypialnego.

W recepcji nie było portiera. Czekał przez chwilę, oparty o kontuar, potem, zirytowany, sam sięgnął do tablicy. Klucza jednak nie było tam, gdzie powinien wisieć. Wzruszył ramionami, poszedł na górę. W Bawarii takie rzeczy nigdy się nie zdarzają!

Ze zdziwieniem zauważył, że drzwi jego apartamentu są uchylone. Odruchowo cofnął się o krok. Złodzieje? Czy może ktoś grzebie w moich rzeczach? Nie wiadomo czemu przypomniał sobie postać filologa klasycznego Kokoschki w brunatnym uniformie.

Nie wiedział, co robić. Obejrzał się. Był sam w pustym korytarzu. Z sercem podchodzącym do gardła pchnął lekko drzwi i na palcach wszedł do środka. Całe szczęście, że włożył dziś te letnie pantofle od Wandersa, z takiej miękkiej skóry.

Zobaczył ją z pogrążonego w ciemności salonu. Tutaj? Skąd? Co też jej przyszło do głowy? Stała w progu między łazienką i sypialnią, gdzie zapaliła nocną lampkę. Miała krótsze włosy, pełniejszą sylwetkę, linia ciała kreśliła kształt zmysłowej, dojrzałej kobiecości. Czas nie zawsze jest złośliwym karłem niweczącym wszystko, co piękne i dobre. Poczuł, że bardzo chciałby teraz usłyszeć jej głos, spojrzeć w oczy, dotknąć ust i skóry na szyi.

Zamarł i wstrzymał oddech, kiedy podeszła do łóżka. Przesunęła dłoń po leżącym tam tomiku *Śmierci*

w *Wenecji*, jednym z trzech, które przywiózł, żeby komuś podarować. Dotknęła wilgotnego ręcznika w łazience, podniosła z posadzki rzucone w nieładzie brudne skarpety, przytuliła się przez chwilę do jego szlafroka, a potem głęboko wciągnęła zapach angielskiego mydła z cedrowej kasetki.

Skrzywił się z zażenowaniem. Bezszelestnie, tyłem wycofał się na korytarz. Zdolna do takich melodramatycznych gestów! Virna! Jakież to głupie... Sterczał przed wejściem bezradny i skonsternowany, przepływały przez niego na przemian fale nieobecnego od dawna erotycznego pobudzenia i przykrego niesmaku.

Bojąc się, że go zobaczy, uciekł za filar w holu, przeklinał idiotyzm sytuacji i własną śmieszność. Thomas Mann kryjący się za węglem przed dawną kochanką! Ależ materiał dla brukowców! Co by na to powiedział na przykład ten złośliwy świntuch Brecht?

Nie czekał długo, po kilku minutach wybiegła, wyraźnie spłoszona. Zadrżał jak młokos na widok jej sprężystości i harmonii ruchów. Skulona, ze spuszczoną głową, zniknęła na schodach.

Wrócił do apartamentu. Czuł jeszcze w powietrzu jej obecność, czuł zapach, którego nie potrafił nazwać, zapach Virny, taki sam jak w *Wenecji*. Dotknął wilgotnego ręcznika w łazience, pogładził mięsistą poję szlafroka, powąchał mydło w cedrowej kasetce.

Potem usiadł na brzegu łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

Otrząsnął się już po chwili, zmienił ubranie, łyknął odrobinę martella z płaskiej podróżnej butelki. Zbliżała się godzina bankietu, trzeba było zejść na dół.

– Ach, co za spotkanie! Słuchałem kiedyś pańskiego wykładu w Braunschweig! – wrzasnął nagle mijający go na półpiętrze mały pękaty jegomość, a potem zawrócił i biegł za nim, natrętnie ględząc i podskakując jak piłka.

Odburknął coś grubiańsko, nie podał ręki. Nieznajomy z głupim wyrazem twarzy zrejterował do poczekalni hotelowego fryzjera.

Opędzając się od intruza, dostrzegł Virnę w recepcji. Obok stał skórzany sakwojaż i pudło na kapelusze. Rozmawiała z portierem, zapłaciła, odebrała rachunek, który zaraz podała na strzępki i wrzuciła do wielkiej niklowanej popielniczki. Pojawił się dorożkarz, zabrał bagaże. Virna ruszyła za nim.

Chciał krzyknąć, chwycić ją za ramię. Ale wewnętrzny głos brzmiał kategorycznie: Nie dogonisz tego, do czego nie dorosteś!

Kiedy już była na ulicy i w niebieskim blasku latarni zobaczył, jak wsiada do fiakra, nie wytrzymał, zerwał się i rzucił w kierunku wyjścia.

Wtedy znienacka zastąpił mu drogę boy hotelowy, zdyszany, spocony, w żółtej liberii; o mało nie zderzyli się ze sobą.

– Czy pan Thomas Mann? Wszędzie pana szukam, byłem w teatrze i w ratuszu. Nadszedł pilny telegram!

Zatrzymał się. Z rozpaczą patrzył za odjeżdżającą dorożką. Na zakręcie ulicy mignął tylko biały kapelusz nad złożoną w harmonię budą pojazdu.

Nienawidził telegramów. Burzyły spokój, zawsze przynosiły coś niedobrego. Sięgnął do kieszeni po napiwek i nerwowo rozerwał urzędowy blankiet. Włożył okulary, odwrócił się do światła, żeby odczytać niewyraźne czcionki dalekopisu, odbite na krzywo przyklejonych paskach. To była wiadomość z domu, od Katii:

Drogi! Oto depesza, która przyszła dziś o trzeciej:
Akademia Szwedzka z siedzibą w Sztokholmie ma
zaszczyt oznajmić...

2001



Wytworny koneser sztuki zamknięty w sycylijskiej samotni, chora kobieta z rozpaczy nawiązująca romans, spiker radiowy przekraczający granicę między rozumem a wyobraźnią – oraz wielu innych bohaterów jedenastu opowiadań Włodzimierza Kowalewskiego – stanowią przykład i próbę naszego własnego ścierania się z losem.

„Niech czytelnik wejdzie ze mną tam, gdzie sam chciałem być choć przez chwilę. Do neogotyckiego zameczku Zygmunta Krasińskiego w Opinogórze, do pokoiku pięknej kierowniczkii poczty w zapadłej wsi na Wileńszczyźnie, do olsztyńskiego teatru, gdzie wielki Thomas Mann wygłosił odczyt, którego nigdy nie wygłosił. A także na podwórko mojego dzieciństwa przy ulicy Sienkiewicza w Olsztynku oraz do wielu innych domów, ludzkich wnętrz i charakterów”.

Każde z opowiadań ma swoje źródło w przeżyciach, fascynacjach, natrętnych myślach, zasłyszanych historiach. Bohaterowie Włodzimierza Kowalewskiego są postaciami autentycznymi – istnieją, istnieli lub mogli istnieć naprawdę. Czas też jest prawdziwy, bo przecież „czasu opowieści” nie dotyczą trywialne prawa przemijania.

www.marginesy.com.pl



cena 37,90 zł

PATRONAT MIEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII